

## Pieniądże, władza i unijny budżet

Ci, którzy najczęściej mówią o ambitnej, wielkiej Unii i uważają się za awangardę oraz euroentuzjastów, nagle zamieniają się w skąpych eurosceptyków, którzy chcieliby jak najwięcej integracji za jak najmniej pieniędzy – pisze Marek A. Cichocki w felietonie opublikowanym na łamach „Rzeczpospolitej”.

Jak nie wiadomo, o co chodzi, zwykle chodzi o pieniądze. To dobrze znane powiedzenie tylko częściowo jednak pasuje do obecnej sytuacji rozmów na temat przyszłego wspólnego budżetu UE na kolejne siedem lat. Tutaj bardziej chodzi o władzę. Media tworzą wokół zakończonego właśnie fiaskiem szczytu w Brukseli odpowiednią atmosferę dramatu, a wobec trwającego od dekady kryzysu integracji wielu polityków chciałoby wykazać się upragnioną efektywnością i sprawczością; pokazać wyborcom, że Unia jednak działa i idzie do przodu.

*Magiczne pytanie, czy budżet UE powinien, czy nie powinien przekraczać 1 proc. dochodu narodowego państw członkowskich, wraca jak bumerang co każde siedem lat*

Jednak zawsze – czy przed rozszerzeniem Unii w 2004 r., czy po nim – rozmowy o budżecie przypominały na ogół chaotyczną bijatykę między rządami, w której

nawoływania o szerszą, strategiczną wizję dalszej integracji europejskiej nikły wobec partykularnych interesów. Jedyna nowa okoliczność obecnych negocjacji budżetowych to konsekwencje opuszczenia Unii przez Wielką Brytanię. Poza tym wszystko pozostaje raczej po staremu.

Po staremu, czyli jak zawsze okazuje się, że ci, którzy najczęściej mówią o ambitnej, wielkiej Unii i uważają się za awangardę oraz euroentuzjastów, nagle zamieniają się w skąpych eurosceptyków, którzy chcieliby jak najmniej integracji za jak najmniej pieniędzy. Magiczne pytanie, czy budżet UE powinien, czy nie powinien przekraczać 1 proc. dochodu narodowego państw członkowskich, wraca więc jak bumerang co każde siedem lat.

Podobnie zresztą, jak pytanie o własne źródła finansowania Unii. Czy zamiast wracać co kilka lat do tego samego sporu, nie lepiej byłoby stworzyć prawdziwy budżet Unii z własnymi dochodami, najlepiej ze środków z biznesu, który najbardziej korzysta z dobrodziejstw wspólnego rynku? To proste rozwiązanie ma jednak zasadniczy mankament – odbierałoby części państw UE potężny instrument nacisku na pozostałe państwa za pośrednictwem negocjacji budżetowych. I wreszcie trzecia kwestia, która wciąż wraca: relacja między tak zwanymi dawcami i biorcami budżetu. Kto daje, a kto dostaje? Sprawa nie jest wcale oczywista, a ci, którzy są płatnikami, a więc kontrybuują więcej, nie chcą zmian, bo w rzeczywistości najczęściej korzystają na obecnym systemie, w którym bogatsi dają raz, aby odzyskać dwa, a nawet trzy razy więcej.

*Marek A. Cichocki*

*Felieton ukazał się w dzienniku „Rzeczpospolita”*